

lektura



opracowanie polecane
przez **nauczycieli** i **egzaminatorów**

**pewniak
na teście**

Joseph Conrad

Jądro ciemności



GREG
WYDAWNICTWO EDUKACYJNE

Autor:

Joseph Conrad

Tytuł:

Jądro ciemności

Przełożyła:

Patrycja Jabłońska

Autor opracowania:

Anna Popławska

Korekta:

**Monika Borkowska
Małgorzata Kosińska
Agnieszka Woźny
Maria Zagnińska**

Okładka:

Aleksandra Zimoch

Wykorzystane zdjęcie:

Lucian Coman/Shutterstock.com

ISBN 978-83-7517-113-6

Wydanie IV zaktualizowane

Copyright by Wydawnictwo GREG®

2022

Wydawnictwo GREG®

31-979 Kraków, ul. Klasztorna 2B

tel. (12) 680 15 50

www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG®
zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Skład i łamanie:

BROS, Pracownia Słowa

I

Jol krażowniczy „Nellie” obrócił się na kotwicy bez trzepotu żagli i znieruchomiał. Przyplływ się skończył, wiatr ucichł prawie całkowicie, więc jacht, który kierował się w dół rzeki, mógł teraz tylko stanąć i czekać na odpływ.

Miejsce akcji

Przymorski obszar Tamizy¹ rozciągał się przed nami jak początek niekończącego się szlaku wodnego. Na pełnym morzu woda i niebo zlewały się z sobą, i w tej świetlistej przestrzeni spłwiała żagle skut² dryfujących z przyplływem w górę rzeki zdawały się stać nieruchomo w kępach czerwonych, ostro zakończonych płócien, połykając pokostowanymi rozprzami. Mgła spoczywała na niskich brzegach, które biegnąc ku morzu stawały się coraz bardziej płaskie. Powietrze nad Gravesend było ciemne, a dalej w głębi zdawało się gęstnieć w żalobny mrok, zalegający nieruchomo nad największym i najpotężniejszym miastem na ziemi.

Naszym kapitanem i gospodarzem był Dyrektor rozmaitych kompanii. Wszyscy czterej z uczuciem patrzyliśmy na jego odwróconą tyłem postać, gdy stał na dziobie, patrząc w stronę morza. Na całą rzecze nie było nic, co miałoby wygląd choć w połowie tak marynarski. Przypominał pilota, który dla marynarza jest uosobieniem tego, co zasługuje na zaufanie. Trudno było uzmysłować sobie, że teren jego pracy znajdował się nie w tym świetlistym ujściu rzeki, ale za nim, w ponurym mroku.

Charakterystyka załogi statku „Nellie” – towarzyszy Marlowa

Pomiędzy nami istniała, jak to już gdzieś powiedziałem, więź morza. Oprócz tego, że łączyła nasze serca w długich okresach rozstania, czyniła nas wzajemnie pobłażliwymi dla naszych opowieści – a nawet przekonań. Prawnik – najlepszy z towarzyszy – dostał w uznaniu swojego wieku i zalet jedyną poduszkę, jaka była na pokładzie, i leżał na jedynym pledzie. Księgowy już wyciągnął pudełko z dominem i układał budowlę z jego kostek. Marlow siedział po turecku w głębi rufy³, oparty o bezanmaszt. Miał zapadnięte policzki, żółtą cerę, proste plecy, ascetyczny wygląd i, z opuszczonymi ramionami i dłońmi otwartymi ku górze przypominał pogańskiego bożka. Dyrektor, upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przeszedł na rufę i usiadł pomiędzy nami. Leniwie zamieniliśmy kilka słów. Potem na pokładzie jachtu zapadła cisza. Z jakiegoś powodu nie zaczęliśmy grać w domino. Mieliśmy nastroj do medytacji i do niczego innego poza spokojnym patrzeniem przed siebie. Dzień kończył się wśród pogody, cichej i nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie; niebo, bez jednej plamki, było dobrotliwym bezmiarem nieskałanego światła; nawet mgła na mo-

¹ *Tamiza* – rzeka w Wielkiej Brytanii, do Londynu dochodzą statki morskie, uchodzi do Morza Północnego.

² *szkuta* – krypa; płaskodenny, niewielki statek, przeważnie do przewozu towarów, głównie na wodach śródlądowych.

³ *rufa* – tylna część statku.

dział Szwed, wskazując trzy drewniane budynki przypominające baraki, stojące na skalistym zboczu. „Przysię tam pana rzeczy. Powiedział pan, cztery skrzynie? Dobrze. Żegnam”.

Natrafiałem na kocioł walający się w trawie, potem znalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Skręcała obok wielkich głazów, a następnie obok małego wagonika leżącego kołami do góry. Jednego z nich brakowało. Wagonik wyglądał martwo jak trup zwierzęcia. Natrafiałem na inne niszczące maszyny, na stos zardzewiałych gwoździ. Na lewo kępa drzew rzuciła trochę cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się słabo poruszać. Zamrugałem; ścieżka była stroma. Po prawej stronie zabrzęczał róg i zobaczyłem, że czarni biegną. Ciężki, głuchy wybuch zatrząsł ziemią, chmura dymu uniosła się ze zbocza, i to było wszystko. Żadna zmiana nie pojawiła się na obliczu skały. Budowali kolej. Skała nie stała im na drodze, ale te bezcelowe wybuchy były jedyną pracą, jaka się odbywała.

**Prawdziwe
oblicze
kolonizacji; los
Murzynów**

Odwrociłem głowę, słysząc za sobą ciche pobrzękiwanie. Szczęściu czarnych szło rzędem, mozolnie pnąc się pod górę. Szli powoli, wyprostowani, balansując na głowach małymi koszykami wypełnionymi ziemią, a pobrzękiwanie wyznaczało rytm ich kroków. Wokół łądzwi mieli owinięte czarne gałgany, których krótkie końce powiewały za nimi jak ogony. Widać było każde zebro tych ludzi, stawy ich kończyn były jak węzły na linie; każdy miał na szyi żelazną obrozę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi, rytmicznie pobrzękując. Kolejny wybuch dobiegający ze skały przypominał mi ów okręt wojenny strzelający ku kontynentowi. Był to ten sam złowróżbny dźwięk; ale tych ludzi nawet przy wielkiej wyobraźni nie można było nazwać wrogami. Nazwano ich kryminalistami, a prawo, które pogwałcili, tak samo jak rozpryskujące się pociski, przyszło do nich z za morza, jako nieodgadniona tajemnica. Ich chude piersi dyszały jednocześnie, gwałtownie rozszerzone nozdrza drżały, nieruchome oczy utkwione były w szczycie wzgórza. Minęli mnie w odległości sześciu cali, bez jednego spojrzenia, z tą całkowitą, podobną do śmierci obojętnością nieszczęśliwych dzikusów. Za tą surową materią kroczył ze zniechęceniem jeden z nawróconych tubylców, wytwór działania nowych sił, niosąc strzelbę, którą trzymał przez środek. Miał mundurową marynarkę, od której odpadł jeden guzik; widząc na ścieżce białego człowieka, pospiesznie uniósł broń do ramienia. Była to zwykła ostrożność, bo biali są z oddali bardzo do siebie podobni, więc nie wiedział, kim mogą być. Szybko uspokoił się i z szerokim, białym, łajdackim uśmiechem i spojrzeniem na powierzonych mu ludzi wydawał się przyjmować mnie do spółki w pełnieniu wzniosłych obowiązków. W końcu ja też byłem częścią tej wielkiej sprawy i jej wzniosłych i sprawiedliwych poczynąń.

Zamiast wchodzić, skręciłem i zszedłem na lewo. Chciałem, żeby ludzie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu, zanim wejdę na wzgórze. Wiecie, że nie jestem szczególnie wrażliwy; musiałem uderzać i parować ciosy. Musiałem stawiać opór i czasem atakować – to tylko jeden ze sposobów stawiania oporu – nie licząc dokładnych kosztów, zgodnie z wymaganiami takiego życia, w jakie wdepnąłem. Widziałem diabła przemocy, i diabła chciwości, i diabła gorącego pożądania; ale, na wszystkie gwiazdy! wszystko to były silne, krzepkie, czerwonoookie diabły, które wstrząsały i zwodzi-

ły ludzi – powiadam wam, ludzi. Ale gdy stałem tam na zboczu wzgórza, uświadomiłem sobie, że w osłepiającym słońcu tego kraju zapoznam się z oklapłym, kłamliwym, bladookim diabłem drapieżnego i bezlitosnego szaleństwa. O tym, jaki umiał być chyttry, dowiedziałem się dopiero kilka miesięcy później i tysiąc mil dalej. Na chwilę zatrzymałem się przerażony, jak gdyby ktoś mnie ostrzegł. W końcu zszedłem na ukos ze wzgórza, w stronę drzew, które wcześniej zobaczyłem.

Ominiąłem wielką jamę, którą ktoś wykopał w zboczu w celu, który był dla mnie niemożliwy do odgadnięcia. Nie był to w każdym razie kamieniołom ani jama, z której wybrano piasek. Była to po prostu dziura. Może związana była z filantropijnym pragnieniem dania kryminalistom czegoś do roboty. Nie wiem. Potem niemal wpadłem do bardzo wąskiego wąwozu, niewiele większego niż skaza w zboczu wzgórza. Odkryłem, że wepchnięto tam mnóstwo rur importowanych do drenowania osady. Nie było tam ani jednej, która nie byłaby pęknięta. Było to świadectwo bezrozumnego niszczycielstwa. Wreszcie znalazłem się pod drzewami. Chciałem tam chwilę pospacerować w cieniu, ale gdy tylko tam się znalazłem, wydało mi się, że wstąpiłem w ponury krąg jakiegoś inferno¹⁵. Wodospady były w pobliżu, i nieprzerwany, jednostajny, gwałtowny łoskot wypełniał żalobną ciszę zagajnika, gdzie nie drgał ani jeden oddech, nie poruszał się ani jeden liść, tajemniczym dźwiękiem – jak gdyby nagle stał się słyszalny gwałtowny rytm puszczanej w ruch ziemi.

Aluzja do *Piekiła*
– części
Boskiej komedii
Danteo

Czarne kształty kulify się, leżały, siedziały pomiędzy drzewami, opierając się o pnie, tuląc się do ziemi, na pół widoczne, na pół ukryte w mglistym półmroku, we wszystkich pozach bólu, przygnębienia i rozpacz. Ekspłodował kolejny ładunek wybuchowy na zboczu, po czym nastąpiło lekkie drgnienie ziemi pod moimi stopami. Praca trwała. Praca! A to było miejsce, do którego wycofali się niektórzy pomocnicy, aby umrzeć.

Umierali powoli – było to doskonale widoczne. Nie byli wrogami, nie byli kryminalistami, nie byli teraz niczym ziemskim – niczym, tylko czarnymi cieniami choroby i głodu, sprowadzonymi na podstawie legalnych kontraktów; zagubieni w bezlitosnym otoczeniu, karmieni nieznanym jedzeniem zaczynali chorować, stawali się bezużyteczni, a wtedy pozwalano im odpełznąć na bok i umrzeć. Te umierające postacie były wolne jak powietrze – i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać błysk oczu pod drzewami. Potem, spoglądając w dół, zobaczyłem twarz obok swojej dłoni. Czarne kości spoczywały, wyciągnięte, z jednym ramieniem opartym o drzewo; powoli powieki uniosły się i zapadnięte oczy spjrzały na mnie, olbrzymie i puste; w głębinach gałek pojawiło się coś w rodzaju ślepego, białego ognika, który powoli się dopalał. Mężczyzna wydawał się młody – niemal chłopiec – ale wiecie, że trudno się zorientować w ich wieku. Nie mogłem zrobić nic innego, tylko ofiarować mu jeden z sucharów ze statku mojego dobrego Szweda. Palce powoli zamknęły się na sucharze i przytrzymały – nie było żadnego innego ruchu i żadnego innego spojrzenia. Wokół szyi miał zawiązany kawałek białej wełny. Dlaczego? Skąd ją

Czarni – tragedia
głodujących

¹⁵ *inferno* (wł.) – piekło.

wziął? Czy to był znaczek – ozdoba – talizman – akt prześlągalny? Czy w ogóle była z nim związana jakaś myśl? Wyglądał uderzająco wokół jego czarnej szyi – ten kawałek białej nici z za mórz.

Obok tego samego drzewa jeszcze dwa tłumoczek kątów ostrych siedziały z podkulonymi nogami. Jeden, z podbródkiem opartym na kolanach, wpatrywał się w nicłość, w nieznośny i przerażający sposób; jego brat widmo podpierał sobie czoło, jakby owaładnięty głębokim zmęczeniem; a wszędzie wokół inni byli rozproszeni, poskręcani w każdej możliwej pozie, jakby na jakimś obrazie masakry albo zarazy. Kiedy stałem, porażony zgrozą, jedno z tych stworzeń dźwignęło się na ręce i kolana i na czworakach ruszyło w stronę rzeki, żeby napić się wody. Piło wodę z dłoni, potem usiadło w słońcu, krzyżując przed sobą golenie, a po chwili wełnista głowa opadła mu na piersi.

**Biali – dostatek
zdobywców**

Nie chciałem już więcej włączyć się w cieniu i pośpieszyłem w stronę stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, o takiej nieoczekiwanej elegancji ubioru, że w pierwszej chwili wziąłem go za jakąś wizję. Zobaczyłem wysoki, wykrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, jasną alpakową marynarkę, śnieżnobiałe spodnie, czysty krawat i wypastowane buty. Nie miał kapelusza. Włosy z przedziałkiem, wyszczotkowane, wybrylantynowane, w wielkiej białej dłoni trzymał parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za uchem miał pióro.

**Główny
księgowy spółki
– wygląd,
charakterystyka**

Uściskałem dłoń temu cudowi i dowiedziałem się, że jest głównym księgowym Kompanii, i że całą księgowość prowadzi się właśnie na tej stacji. Wyszedł na chwilę, żeby, jak powiedział, „zaczepnąć świeżego powietrza”. To wyrażenie zabrzmiało dziwnie, budząc skojarzenie z siedzącym trybem życia za biurkiem. Nie wspominałbym wam w ogóle o tym facecie, ale to z jego ust po raz pierwszy usłyszałem nazwisko człowieka, który tak nierozzerwalnie związany jest ze wspomnieniami tamtego czasu. Ponadto poczułem do niego szacunek. Tak; szanowałem jego kołnierzyki, jego szerokie mankiety, jego wyszczotkowane włosy. Jego wygląd był bez wątplenia wyglądem manekina fryzjerskiego; ale pośród wielkiego rozprężenia tego kraju dbał o swoją powierzchowność. To jest kręgosłup. Jego wykrochmalone kołnierzyki i sztywne gorsy były osiągnięciami charakteru. Był tam prawie trzy lata; kiedyś nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać go, jak udało mu się zdobyć taką bieliznę. Zarumienił się leciutko i odparł skromnie: „Nauczyłem jedną z tubylczych kobiet na stacji. To było trudne. Miała niesmak do tej pracy”. Ten człowiek naprawdę czegoś dokonał. I był oddany swoim rachunkom, które utrzymywał we wzorowym porządku.

Wszystko inne na stacji było w nieładzie – głowy, rzeczy, budynki. Sznury zakurzonych Murzynów o płaskich stopach przybywały i odchodziły; strumień wyprodukowanych towarów, lichej bawełny, paciorków i drutu mosiężnego wyruszał w głąbiny ciemności, a w zamian za to napływała cenna strużka kości słoniowej.

Musiałem czekać na stacji dziesięć dni – wieczność. Mieszkałem w chacie na podwórzu, ale aby odpocząć od chaosu, zachodziłem czasem do biura księgowego. Było zbudowane z poziomych desek, tak źle połączonych, że kiedy księgowy pochylał

się nad swoim wysokim biurkiem, od szyi po pięty przecinały go wąskie paski słonecznego światła. Nie trzeba było otwierać wielkiej okiennicy, żeby widzieć. Było tam też gorąco; wielkie muchy brzęczały diabelsko i nie żądliły, ale dźgały. Zazwyczaj siadałem na podłodze, a księgowy, o nieskazitelnym wyglądzie (i nawet lekko uperfumowany) przysiadł na wysokim stołku i pisał, pisał. Czasem wstawał, żeby zażyć ruchu. Kiedy wstawiono tam łóżko na kółkach z chorym (jakimś agentem, który zachorował w głębi kraju), okazał lekkie zniecierpliwienie. „Jęki tego chorego”, powiedział, „rozpraszają moją uwagę. A i bez tego jest niezwykle trudno ustrzec się od błędów rachunkowych w tym klimacie”.

Pewnego dnia napomknął, nie podnosząc głowy: „W interierze niewątpliwie spotka pan pana Kurtza”. Gdy zapytałem, kim jest pan Kurtz, odparł, że to agent pierwszej klasy; i widząc moje rozczarowanie tą informacją, dodał powoli, odkładając pióro: „To bardzo wybitna osoba”. Dalsze pytania wydobyły z niego, że pan Kurtz obecnie zarządza placówką handlową, bardzo ważną, w prawdziwym zagłębiu kości słoniowej, „w samym jego sercu. Przysyła tyle kości słoniowej, ile wszyscy inni razem wzięci...” Zaczął pisać na nowo. Chory czuł się tak źle, że nie miał siły jęczeć. Muchy brzęczały w całkowitym spokoju.

Księgowy
o Kurtzu

Nagle rozległ się narastający szmer głosów i głośny tupot stóp. Nadeszła karawana. Gwałtowny bełkot dziwacznych dźwięków wybuchł po drugiej stronie desek. Wszyscy tragarze mówili jednocześnie, i wśród tego hałasu było słycać płaczący głos głównego agenta, który dwudziesty raz w ciągu tego dnia wołał, że „ma tego dosyć”... Wstał powoli. „Co za straszliwa wrzawa”, powiedział. Cicho przeszedł przez pokój, żeby spojrzeć na chorego i wracając powiedział do mnie: „Nie słyszy”. „Co? Umarł?!”, zapytałem przestraszony. „Nie, jeszcze nie”, odparł z wielkim spokojem. Potem, ruchem głowy wskazując zamieszanie na podwórzu stacji: „Kiedy trzeba wpisywać prawidłowe dane, zaczyna się nienawidzić tych dzikusów – śmiertelnie nienawidzić.” Przez chwilę trwał w zamyśleniu. „Kiedy zobaczy pan pana Kurtza”, ciągnął, „proszę mu ode mnie powiedzieć, że wszystko tutaj” – spojrzał na biurko – „jest w całkowitym porządku. Nie chcę do niego pisać – z tymi naszymi posłańcami nigdy nie wiadomo, w czyje ręce może wpaść list – na tamtej Centralnej Stacji”¹⁶. Przez chwilę wpatrywał się we mnie łagodnymi, wypukłymi oczami. „Och, on zajdzie daleko, bardzo daleko”, zaczął ponownie. „Niedługo będzie kimś w administracji. Ci z góry – Rada w Europie, wie pan – chcą, żeby tak było”.

Księgowy
o Kurtzu

Wrócił do pracy. Hałas na zewnątrz umilkł; wychodząc zatrzymałem się przy drzwiach. Wśród spokojnego brzęczenia much wracający do kraju agent leżał zaczerwieniony i nieprzytomny; drugi, schylony nad swoimi księgami, wpisywał prawidłowe dane o całkowicie prawidłowych transakcjach; a pięćdziesiąt stóp poniżej progu widać było nieruchome korony drzew z zagajnika śmierci.

Następnego dnia wreszcie opuściłem stację z karawaną sześćdziesięciu ludzi, wyruszając w dwustumilowy marsz.

¹⁶ *stacja centralna* – Kinszasa in. Leopoldville, port nad rzeką Kongo.

Rosyjski marynarz – charakterystyka Kurtza

nie mógłby być szalony. Gdybym go słyszał, jak mówi, ledwie dwa dni temu, nie ważyłbym się sugerować czegoś takiego... Podniosłem lornetkę, kiedy rozmawialiśmy i patrzyłem na brzeg, omiatając granice lasu po obu stronach i na tyłach domu. Świadomość, że w buszu są ludzie, tak milczący, tak cisi – równie milczący i cisi jak zrujnowany dom na wzgórzu – sprawiała, że czułem się niepewnie. Na obliczu natury nie było śladu tej zdumiewającej historii, nie tyle opowiedzianej, co zasugerowanej odebranymi okrzykami, dopełnionej wzruszeniami ramion, historii w urywanych zdaniach, w napomknieniach kończących się głębokimi westchnieniami. Lasy trwały nieporuszone jak maska – ciężkie jak zamknięte drzwi więzienia – patrzyły z wyrazem ukrytej wiedzy, cierpliwego wyczekiwania, nieprzystępnego milczenia. Rosjanin wyjaśniał mi, że dopiero ostatnio pan Kurtz zszedł nad rzekę, prowadząc z sobą wszystkich wojowników z plemienia znad jeziora. Nie było go przez kilka miesięcy – pozwalał oddawać sobie boską cześć, jak przypuszczam – i wrócił nieoczekiwanie, najwyraźniej zamierzając przeprowadzić atak albo na ziemię po drugiej stronie rzeki, albo w dole jej biegu. Najwyraźniej apetyt na kość słoniową wziął górę nad – jak mam to nazwać? – mniej materialnymi aspiracjami. Jednakże nagle bardzo mu się pogorszyło. „Słyszałem, że leży bez sił, więc przyszedłem – zaryzykowałem”, powiedział Rosjanin. „Och, źle z nim, bardzo źle”. Skierowałem lornetkę na dom. Nie było znaków życia, ale był tam zrujnowany dach, długi mur z gliny wyzierający znad trawy, z trzema małymi kwadratowymi otworami okiennymi, każdy innej wielkości; wszystko to miałem jakby w zasięgu ręki. A potem zrobiłem gwałtowny ruch i jeden ze słupów pozostałych z ogrodzenia wskoczył w moje pole widzenia. Pamiętacie, powiedziałem wam, że uderzyły mnie z oddali pewne próby wprowadzenia ornamentów, dość osobliwe wobec ruiny tego miejsca. Teraz nagle zyskałem lepszy widok i pierwsze wrażenie sprawiło, że odrzuciłem głowę w tył jak uderzony. Potem ostrożnie przesuwalem szkła od słupa do słupa i zrozumiałem swoją pomyłkę. Te okrągłe gałki nie były ozdoba, ale symbolem; były ekspresyjne i zagadkowe, uderzające i niepokojące – pokarm dla myśli, a także dla sępów, jeśli jakieś spoglądały w dół z nieba; w każdym razie był to pokarm dla tych mrówek, które były dość pracowite, aby wspinać się na słup. Te głowy na palach robiłyby jeszcze większe wrażenie, gdyby ich twarze nie były odwrócone ku domowi. Tylko jedna, ta, którą widziałem jako pierwszą, była zwrócona w moją stronę. Nie byłem tak zaszokowany, jak może wam się wydawać. Moje drgnienie w gruncie rzeczy było tylko wynikiem zaskoczenia. Rozumiecie, spodziewałem się tam zobaczyć kulę z drewna. Rozmyślnie wróciłem do pierwszej głowy, którą zobaczyłem – i oto była, czarna, wyschnięta, zapadła, o zamkniętych powiekach – głowa, która zdawała się spać na czubku słupa, a jej skurczone, wyschnięte wargi, ukazujące wąską białą linię zębów, uśmiechały się, uśmiechały się nieustannie do jakiegoś niekończącego się, wesołego snu tej wieczystej drzemki.

Palisada z głowami Murzynów – symbol „pracy” Kurtza

Nie zdradzam żadnych sekretów handlowych. Faktem jest, że dyrektor powiedział później, iż metody pana Kurtza zrujnowały okręg. Nie mam zdania na ten temat, ale chcę, żebyście dobrze zrozumieli, że nie było właściwie nic przynoszącego korzyści w tym, że owe głowy tam się znajdowały. Pokazywały tylko, że pan Kurtz nie

miał hamulców w zaspokajaniu swoich rozmaitych żądz, że czegoś w nim brakowało – jakiejś małej rzeczy, której nie dało się odnaleźć pod jego wspaniałą elokwencją, kiedy pojawiła się paląca potrzeba. Czy on sam wiedział o tym braku, nie umiem powiedzieć. Myślę, że pojął to na końcu – na samym końcu. Ale dzicz znalazła go wcześniej i dokonała na nim straszliwej zemsty za tę osobliwą inwazję. Myślę, że szeptała mu rzeczy o nim samym, których nie wiedział, rzeczy, o których nie miał pojęcia, dopóki nie poddał się głosowi tej wielkiej samotności – i ten szept okazał się nieodparcie fascynujący. Rozbrzmiewał w jego wnętrzu głośnym echem, bo było ono całkowicie puste... Odłożyłem lornetkę, i głowa, która przedtem była na tyle blisko, że można było do niej przemówić, natychmiast odskoczyła ode mnie na niedostępną odległość.

Kurtz – prawdziwe oblicze ujawnione wśród Murzynów

Wielbielcy pana Kurtza byli trochę zbity z tropu. Zaczął zapewniać mnie pośpiesznie i niewyraźnie, że nie odważył się zdjąć tych – powiedzmy, symboli. Nie bał się tubylców; nie zaczęliby się burzyć, dopóki pan Kurtz nie dałby haśła. Jego wpływ był niezwykły. Ich obozy otaczały to miejsce, a wodzowie przychodzili każdego dnia, żeby zobaczyć się z panem Kurtzem. Pełzali... „Nie chcę wiedzieć nic o ceremoniach związanych ze zbliżaniem się do pana Kurtza”, wrzasnąłem. Osobliwe było to uczucie, które mnie naszło – że takie szczegóły byłyby bardziej nie do zniesienia niż głowy wysychające na palach pod oknami pana Kurtza. Ostatecznie to był tylko dziki widok, a tamto wydawało się przenosić mnie w jednej chwili do jakiegoś pozbawionego światła regionu wyrafinowanych okropności, gdzie czysta, nieskomplikowana dzikość byłaby prawdziwą ulgą, czymś, co miałoby prawo istnieć – jawnie – w słońcu. Młody człowiek spojrział na mnie ze zdziwieniem. Chyba nie przyszło mu do głowy, że pan Kurtz nie jest dla mnie bóstwem. Zapomniał, że nie słyszałem żadnego z tych wspaniałych monologów o – o czym to było? o miłości, sprawiedliwości, drodze życia – czy o czym tam. Gdyby doszło do pełzania przed panem Kurtzem, pełzałaby jak najdłuższy spośród wszystkich dzikusów. Powiedział, że nie mam pojęcia o tutejszych warunkach: te głowy są głowami buntowników. Ogromnie zaszokował go mój śmiech. Buntownicy! Jakie określenie miałem jeszcze usłyszeć? Byli już wrogowie, kryminaliści, pracownicy – a tu byli buntownicy. Te buntownicze głowy wydawały mi się bardzo potulne na swoich palach. „Nie ma pan pojęcia, jak ciężko takie życie może doświadczyć człowieka takiego, jak Kurtz”, wykrzyknął jego ostatni uczeń. „Cóż, a pana?”, zapytałem. „Mnie! Mnie! Ja jestem prostym człowiekiem. Nie mam wielkich myśli. Nie chcę nic od nikogo. Jak może pan porównywać mnie do...?” Jego uczucia nie dały się wyrazić słowami; nagle załamał się. „Nie rozumiem”, jęknął. „Robiłem, co w mojej mocy, żeby zachować go przy życiu, i to wystarczy. Nie przyłożyłem ręki do tego wszystkiego. Nie mam zdolności. Od miesięcy nie było tu ani kropli lekarstwa, ani odrobiny jedzenia dla chorych. Był skandalicznie opuszczony. Człowiek taki jak on, z takimi ideałami. Skandalicznie! Skandalicznie! Ja – ja – ja nie spałem od dziesięciu nocy...”

Kurtz – rola boga wśród tubylców

Jego głos rozplynął się w ciszy wieczoru. Kiedy rozmawialiśmy, długie cienie lasu ześliznęły się w dół wzgórza, kiedy rozmawialiśmy, odeszły daleko poza zrujnowa-

PEŁNE OPRACOWANIE

BIOGRAFIA JOSEPHA CONRADA



Józef Teodor Konrad Korzeniowski urodził się 3 XII 1857 r. w Berdyczowie na Ukrainie. Ojciec Apollo był dramaturgiem, tłumaczem, publicystą oraz działaczem niepodległościowym. Matka – Ewa z Bobrowskich – była siostrą Stefana Bobrowskiego, działacza lewicy „czerwonych”, który przez kilka pierwszych miesięcy 1863 roku był faktycznym przywódcą powstania styczniowego.

Korzeniowscy należeli do zubożałej szlachty. Rodzina straciła majątek w wyniku represji po powstaniu 1830 roku, a więc Apollo gospodarował w dzierzawionym majątku koło Berdyczowa. Apollo porzucił jednak żywot ziemianina i wraz z rodziną przeniósł się do Warszawy, gdzie zaangażował się w działalność konspiracyjną, co doprowadziło do jego aresztowania w 1861 r. Skazany na zesłanie, po siedmiu miesiącach więzienia udał się wraz z żoną i czteroletnim synem do Wołody. Po złagodzeniu wyroku rodzina zamieszkała w Czernihowie koło Kijowa, gdzie 11 IV 1865 r. Ewa zmarła na gruźlicę.

W 1868 r. Apollo z synem wrócił do Polski. Zmarł w Krakowie 23 V 1869 roku, również na gruźlicę. Jedenastoletnim chłopcem zajął się wuj Tadeusz Bobrowski.

Edukacja chłopca była niesystematyczna, z powodu słabego zdrowia i zesłania nie chodził do szkoły, uczyli go rodzice i prywatni nauczyciele, ale od piątego roku życia dużo czytał i opanował kilka języków.

W wieku czternastu lat poczuł chęć wyruszenia na morze, a wuj po dwóch latach sprzeciwu uległ pragnieniom chłopca. Tak więc 15 X 1874 roku, na kilka tygodni przed ukończeniem siedemnastu lat, Conrad wyjechał z Krakowa do Marsylii i rozpoczął pracę w zawodzie marynarza. We Francji spędził cztery lata, pływając na żaglowcach do Indii Zachodnich i do portów Morza Karaibskiego.

W lipcu 1878 roku zaciągnął się na statek angielski. Pływał na Daleki Wschód i do Australii, zdawał kolejne egzaminy na drugiego, pierwszego oficera, a w końcu w 1886 roku zdobył dyplom kapitana brytyjskiej marynarki handlowej oraz otrzymał obywatelstwo brytyjskie. Pływał przeważnie na żaglowcach, które w tym czasie były już zastępowane parowcami, więc Conrad miał trudności z dostaniem pracy. Tylko raz (styczeń 1888 – marzec 1889) dowodził statkiem „Otago”. W 1890 roku zdobył pracę w Kongu Belgijskim, ale po kilku miesiącach porzucił ją i ciężko chory wrócił do Anglii. W 1894 r. służył na statku po raz ostatni.

Przez poprzedzające tę decyzję pięć lat pisał swą pierwszą powieść *Szaleństwo Almayera*. Ukazała się ona 29 IV 1895 r. pod nazwiskiem Josepha Conrada.

Dyrektor stacji centralnej – zaaklimatyzował się w afrykańskiej stacji, zazdrościł Kurtzowi jego pozycji i wpływów, przesadnie ambitny, nieinteligentny człowiek, nie dbał o interesy spółki, lecz o swoje korzyści.

Palacz – Murzyn – szybko się przystosował, dobrze pracuje jako palacz, rzetelny.

Sternik – Murzyn – tubylcy zabili go, atakując statek, wyrzekł się swego pochodzenia, zerwał ze swoją tradycją.

Rosyjski marynarz – pracuje u Kurtza jako jedyny biały człowiek, bezkrytycznie wierzy w jego idee i przekonania, jest urzeczony i zafascynowany Kurtzem.

Narzeczona Kurtza – oczarowana Kurtzem, uważa go za wybitnego i szlachetnego; nie dowiaduje się prawdy o tym człowieku.

PLAN WYDARZEŃ

1. Hymn na cześć Tamizy, „szlaku wiodącego do najdalszych końców ziemi”.
2. Prezentacja miejsca akcji i bohaterów przez pierwotnego narratora.
3. Początek opowieści Marlowa: prolog o rzymskim kapitanie statku, zdobywcy płynącym Tamizą w głąb dzikiego kraju barbarzyńskich Brytów.
4. Relacja Marlowa z zabiegów, mających na celu uzyskanie nominacji na kapitana statku pływającego po rzece Kongo.
5. Wizyty w biurze Spółki Handlowej i u doktora.
6. Podróż do ujścia „wielkiej rzeki” – pierwsze wrażenia z kontaktów z tubylcami i dziką przyrodą.
7. Krótka podróż do stacji Spółki, rozmowa z kapitanem, Szwedem, o szaleństwie opętujących przybyłych tu białych ludzi.
8. Dziesięciodniowy pobyt w stacji, gdzie urzędował główny księgowy; obraz rozprężenia, chaosu, bezsensownej pracy i umierających z głodu i przemęczenia niewolników.
9. Dwustumilowa piesza wędrówka do stacji centralnej.
10. Przybycie Marlowa do stacji centralnej i wiadomość o awarii jego statku.
11. Naprawa statku, poznawanie ludzi i stosunków panujących między nimi.
12. Podróż w górę rzeki do „jądra ciemności”, uciążliwa i niebezpieczna, dostarczająca Marlowowi okazji do wielu refleksji.
13. Znalezienie drewna do kotła wraz z tajemniczą informacją – poleceniem pośpiechu i ostrożności – oraz starą książką żeglarską.
14. Przerwa w żegludze spowodowana mgłą; tajemniczy krzyk we mgle.
15. Atak tubylców na statek (śmierć sternika), jak się później okazało, z polecenia Kurtza.
16. Wyobrażenia Marlowa o Kurtzu i wrażenia po spotkaniu z nim.
17. Próby Marlowa wyjaśnienia rozmówcom przyczyn fascynacji osobą Kurtza.

nym tego przykładem jest jego raport dla Międzynarodowego Towarzystwa Tępienia Dzikich Obyczajów, o którego przechowanie prosi Marlowa. Wręczając mu ten dokument, zapomniał o dopisku „Wybić całe to bydło!” (s. 46), który ujawniał jego prawdziwe motyw. „Przeżywał w nieprzeniknionej ciemności” (s. 62) – stwierdza Marlow, który uznaje ostatnie słowa umierającego za wyraz samooceny i to sprawia mu ulgę. Na dobrą sprawę nie wiemy jednak, co miał na myśli Kurtz mówiąc: „Ohyda! Ohyda!”.

Faktem jest, iż całym życiem Kurtz udowodnił, jak zgubny jest brak hamulców moralnych, uleganie namiętnościom, nieliczenie się z opinią otoczenia i własnym sumieniem, skrajny, bezlitosny egoizm.

Kurtz jest symbolicznym portretem dyktatora, tyrana, który przypisuje sobie **nadludzką władzę, nie liczącą się z żadnymi prawami moralnymi i społecznymi**. Oszukując siebie i niewoląc innych, ładnie brzmiącymi sloganami usprawiedliwia własną samowolę i okrucieństwo.

CHARAKTERYSTYKA POZOSTAŁYCH POSTACI

Pojawiają się w epizodach i tylko tyle o nich wiemy, ile wynika z ich udziału w opisanych sytuacjach. Pozbawieni są nazwisk, przeszłości i przyszłości. Pojawiają się jako ilustracje zdarzeń i sytuacji, z którymi spotyka się bohater. Bardzo interesującym zabiegiem jest pozbawienie utworu autentycznych, dwustronnych dialogów. Postacie mówią, ale nie rozmawiają. Ukazuje to brak prawdziwego duchowego porozumienia między ludźmi.



Bohaterowie opowieści ramowej

- pierwotny narrator – prezentuje sytuację opowiadania oraz rozmówców;
- dyrektor różnych kompanii – gospodarz spotkania, właściciel jachtu „*Nellie*”, postać „*wybitnie marynarska*” (s. 5);
- prawnik – „*najlepszy z towarzyszy*” (s. 5), wiekowy i bardzo szanowany;
- buchalter – rozkłada kostki do gry w domino.



Bohaterowie epizodu brukselskiego

Dwie kobiety robiące na drutach, jedna szczupła, druga tęga. **Szczupła** wprowadzała i wyprowadzała interesantów. „*Jej suknia była prosta jak pokrowiec na parasol*” (s. 11). Tęga trzymała nogi oparte na ogrzewaczu, na jej kolanach siedział kot. Patrzyła na interesantów z zimną obojętnością. „*Zdawało się, że wie wszystko o nich i o mnie także. Opanowało mnie uczucie grozy.*” (s. 12) – pomyślał Marlow i nazwał je „*strzegącymi bram Ciemności*”. Są to postacie symbolizujące boginie losu, Parki, obojętnych świadków toczących się zdarzeń.

SPIS TREŚCI

Pewniak
na teście ← to będzie na teście

Jądro ciemności

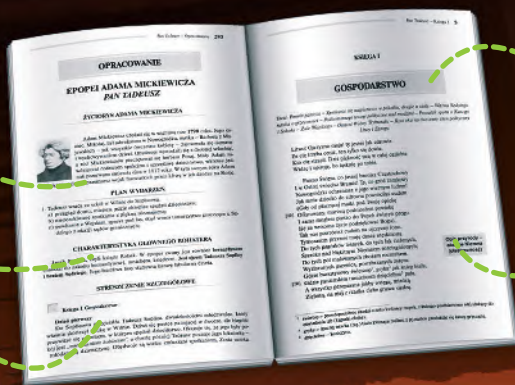
I	5
II	30
III	50

Krótkie opracowanie

Krótko o utworze	70
Krótkie streszczenie	70
Motywy	71

Pełne opracowanie

Biografia Josepha Conrada	74
Geneza utworu	75
Wyjaśnienie tytułu utworu	76
Czas i miejsce akcji	78
Bohaterowie utworu	78
Plan wydarzeń	78
Streszczenie szczegółowe	80
Charakterystyka głównych bohaterów	82
Charlie Marlow	82
Kurtz	85
Charakterystyka pozostałych postaci	87
Problematyka	90
Problematyka społeczno-polityczna	90
Problematyka psychologiczna i moralna	91
Impresjonizm i symbolizm	91
Narracja i kompozycja utworu	92
Gatunek utworu	93
Indeks komentarzy do tekstu	94



opracowanie

streszczenie

charakterystyka

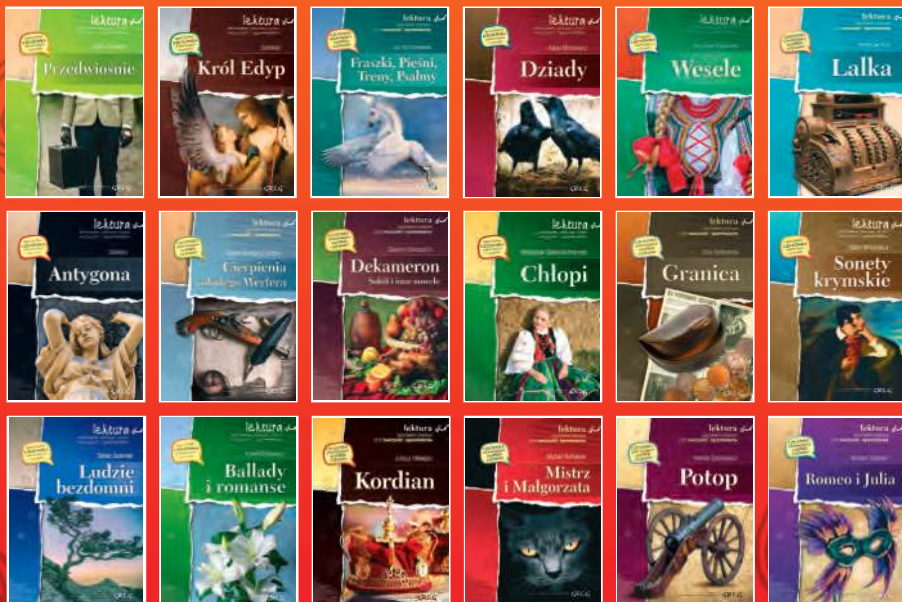
ważny cytat

problematyka

Pewniak
na teście

lektury Grega. Zaufaj sprawdzonej marce!

Najnowsze wydania zawierają **odpowiedzi na pytania z podręczników i testów.**



Pełnej oferty szukaj w najlepszych księgarniach.

ISBN 978-83-7517-113-6



9 788375 171136 >

GREG
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo GREG
ul. Klasztorna 2B ■ 31-979 Kraków
www.greg.pl